

„Ta książka całkowicie mnie oszołomiła. Unikalna!”

SOPHIE HANNAH

SIEDEM
ŚMIERCI
EVELYN
HARDCASTLE

STUART TURTON

Serdecznie zapraszamy do Blackheath House na
BAL MASKOWY

◆

Gospodarze, rodzina Hardcastle
Lord Peter Hardcastle & lady Helena Hardcastle
 &
 ich syn Michael Hardcastle
 oraz córka Evelyn Hardcastle

◆

– ***Znakomici goście*** –
Edward Dance, Christopher Pettigrew & Philip Sutcliffe,
 adwokaci rodziny
Grace Davies & jej brat, Donald Davies, osoby z towarzystwa
Komandor porucznik Clifford Herrington, oficer marynarki (w st. spoczynku)
Millicent Derby & jej syn, Jonathan Derby, osoby z towarzystwa
 Daniel Coleridge, zawodowy gracz
 Lord Cecil Ravenscourt, bankier
 Jim Rashton, funkcjonariusz policji
 Doktor Richard (Dickie) Acker
 Doktor Sebastian Bell
 Ted Stanwin

– *Służba domowa* –

Roger Collins, kamerdyner

Pani Drudge, kucharka

Lucy Harper, główna pokojówka

Alf Miller, masztalerz

Gregory Gold, artysta rezydent

Charles Cunningham, pokojowy lorda Ravencourta

Madeline Aubert, pokojówka Evelyn Hardcastle



*Uprzejmie prosimy wszystkich gości, aby powstrzymali się
od rozmów na temat **Thomasa Hardcastle'a** i **Charliego Carvera**,
gdyż rodzina nadal jest pogrążona w smutku z powodu
tragicznych wydarzeń z ich udziałem*

1

Dzień pierwszy

Między kolejnymi krokami zapominam wszystko.

– Anno! – krzyczę i zaskoczony zamykam usta.

W głowie mam pustkę. Nie wiem, kim jest Anna ani po co ją wołam. Nie wiem nawet, jak się tu znalazłem. Stoję w lesie, osłaniając oczy przed drobnym deszczem. Serce mi łomocze, nogi dygoczą i cuchną potem. Pewnie biegłem, ale nie pamiętam dlaczego.

– Jak to... – urywam na widok własnych dłoni. Są kościste, brzydkie. Dłonie kogoś obcego. W ogóle ich nie poznaję.

Czując pierwszy przypływ paniki, staram się wygrzebać z pamięci coś o sobie: nazwisko krewnego, adres, wiek, cokolwiek, ale nic mi się nie przypomina. Nie mam choćby imienia. Nawet wspomnienie sprzed kilku sekund znika bez śladu.

Czuję ucisk w gardle, mój oddech staje się szybszy i głośniejszy. Las zaczyna mi wirować w oczach, poznaczony czarnymi kropkami.

Spokojnie.

– Nie mogę oddychać – udaje mi się wykrztusić. Krew huczy mi w uszach i osuwam się na ziemię, wbijając w nią palce.

Możesz oddychać, musisz się tylko uspokoić.

Beznamiętny, autorytatywny ton tego wewnętrznego głosu przynosi ulgę.

Zamknij oczy, posłuchaj lasu. Weź się w garść.

Posłusznie zaciskam powieki, słyszę jednak tylko swoje paniczne rżenie. Przez długą chwilę zagłusza wszystkie inne dźwięki, ale powoli, bardzo powoli udaje mi się wydrążyć dziurę w otaczającym mnie murze przerażenia i wpuścić przez nią inne odgłosy. Szmer kropli deszczu spadających na liście, szelest kołyszących się gałęzi. Gdzieś po prawej płynie strumyk, z drzew z trzepotem skrzydeł podrywają się do lotu wrony. Coś pomyka w zaroślach, słychać miękki tupot króliczych łapek, blisko, na wyciągnięcie ręki. Cierpliwie, jedno po drugim, łączę ze sobą te nowe wspomnienia, by w końcu zbierać pięć minut przeszłości, których mogę się uchwycić. Wystarczy, by powstrzymać panikę, przynajmniej na razie.

Niezgrabnie dźwigam się na nogi i zdumiewa mnie mój wzrost; dziwię się, z jakiej wysokości spoglądam na ziemię. Lekko się chwieję, otrzepuję spodnie z mokrych liści i po raz pierwszy uświadamiam sobie, że mam na sobie smoking i koszulę poplamioną błotem i czerwonym winem. Musiałem być na jakimś przyjęciu. Mam puste kieszenie i jestem bez płaszcza, nie mogłem więc wywędrować za daleko. Pociuszająca myśl.

Światło wskazuje na to, że jest ranek, czyli prawdopodobnie błąkałem się tu przez całą noc. Nikt się tak nie stroi, żeby spędzić wieczór samotnie, a to oznacza, że ktoś musiał zauważyć moje zniknięcie. Za tymi drzewami na pewno jest jakiś dom, gdzie chyba już wszczęto alarm i ruszają na poszukiwania. Prześlizguję się wzrokiem po gęstwinie, jak gdybym się spodziewał, że spomiędzy liści wyłonią się moi przyjaciele, poklepią mnie po ramieniu i sypiąc delikatnymi żarcikami, odprowadzą do domu; ale marzenia nie pokażą mi drogi wyjścia z lasu, a nie mogę włączyć się po nim, licząc na ratunek. Drzę i szczękam zębami. Muszę się ruszyć, choćby po to, żeby się ogrzać. Widzę tylko drzewa. Nie mam pojęcia, czy idę w stronę, z której nadejdzie pomoc, czy w przeciwną, i zapuszczam się jeszcze dalej w las.

Nie wiedząc, co począć, wracam do ostatniej sprawy zaprzatającej uwagę człowieka, którym byłem.

– Anno!

Kimkolwiek jest ta kobieta, nie ulega wątpliwości, że to z jej powodu znalazłem się w lesie, ale nie potrafię jej sobie wyobrazić. Może jest moją żoną albo córką? Nie wydaje mi się, mimo to wyczuwam w tym imieniu jakąś siłę przyciągania. Jak gdyby próbowało zaprowadzić dokądś moje myśli.

– Anno! – wołam bardziej z rozpaczą niż z nadzieją.

– Na pomoc! – odpowiada mi krzyk kobiety.

Szukam głosu, obracając się w koło, aż kręci mi się w głowie, w końcu między drzewami w oddali dostrzegam sylwetkę kobiety w czarnej sukni, która biegnie co sił w nogach. Po kilku sekundach widzę przedzierającego się przez gęstwinę jej prześladowcę.

– Halo, stać! – wołam, ale mój głos jest znużony i słaby; ginie stratowany ich nogami.

Shok mnie paraliżuje i zanim udaje mi się ruszyć w pogoń, niemal tracę tych dwoje z oczu. Gnam z szybkością, o jaką nie podejrzewałem obolałego ciała. Mimo niezwykłego pośpiechu cały czas mnie wyprzedzają.

Pot ścieka mi z czoła, nogi, które już były słabe, stają się coraz cięższe, aż wreszcie odmawiają posłuszeństwa i jak długi padam w błoto. Gramolę się przez liście i podnoszę w tej samej chwili, gdy rozlega się przerażony krzyk kobiety. Wypełnia las i nagle milknie, przerwany strzałem z broni.

– Anno! – krzyczę z rozpaczą. – Anno!

Odpowiada mi cisza i zamierające echo huku wystrzału.

Trzydzieści sekund. Tyle właśnie się wahałem, gdy ją zauważyłem, i tyle drogi dzieliło mnie od niej, kiedy została zamordowana. Pół minuty niezdecydowania, trzydzieści sekund, które wystarczyły, by ją stracić.

U moich stóp leży spora gałąź. Podnoszę ją i na próbę biorę zamach, dodając sobie otuchy jej ciężarem i dotykiem szorstkiej kory. Na niewiele mi się zda przeciwko człowiekowi uzbrojonemu w pistolet, ale lepsze to, niż chodzić po lesie z pustymi rękami. Ciągłe dyszę, ciągle drzę po wyczerpującym biegu, ale wyrzuty sumienia pchają mnie w stronę, z której dobiegł krzyk Anny. Uważając, żeby nie robić za dużo hałasu, odsuwam wiszące nisko gałęzie i szukam tego, czego tak naprawdę nie chcę zobaczyć.

Z lewej dobiega trzask suchych gałązek.

Wstrzymuję oddech i nasłuchuję.

Znowu ten dźwięk – liście i gałęzie chrzęszczą pod stopami kogoś, kto podchodzi do mnie z tyłu.

Krew ścina mi się w żyłach i kamienieję. Boję się obejrzeć przez ramię.

Chrzęst jest coraz bliżej, tuż za plecami słyszę płytki oddech. Miękną mi nogi, gałąź wypada z rąk.

Zmówiłbym modlitwę, nie pamiętam jednak słów.

Moją szyję oblewa ciepło oddechu. Czuję zapach alkoholu i papierosów, woń niemytego ciała.

– Na wschód – chrypi mężczyzna, wsuwając mi do kieszeni coś ciężkiego.

Oddała się, jego kroki cichną w głębi lasu, a ja opadam na ziemię i przyciskam do niej czoło, wdychając zapach mokrych liści i zgnilizny. Po policzkach płyną mi łzy.

Żałosne uczucie ulgi, nędzne tchórzostwo. Nie umiałem nawet spojrzeć prześladowcy w oczy. Co ze mnie za mężczyzna?

Mija kilka minut, zanim strach słabnie na tyle, że mogę ruszyć dalej, ale nawet wtedy muszę się oprzeć o pobliskie drzewo, by odpocząć. W kieszeni kołysze się prezent od mordercy, więc mimo obaw, co tam znajdę, zanurzam w niej dłoń i wydaję srebrny kompas.

– O! – mówię zdziwiony.

Szkło jest pęknięte, metal porysowany, a na spodzie widzę wygrawerowane inicjały SB. Nie wiem, co oznaczają, lecz polecenie zabójcy było jasne. Mam z niego skorzystać, żeby iść na wschód.

Z poczuciem winy patrzę na las. Ciało Anny jest pewnie niedaleko, boję się jednak reakcji mordercy, gdybym je odnalazł. Może żyję właśnie dlatego, że nie podszedłem bliżej. Naprawdę chcę sprawdzić granice jego litości?

Przy założeniu, że to rzeczywiście litość.

Bardzo długo wpatruję się w drgającą igłę kompasu. Niewiele rzeczy jestem już pewien, wiem jednak, że mordercy nie okazują litości. Bez względu na zamiary tego człowieka nie mogę wierzyć w jego rady i nie mogę ich słuchać, ale jeżeli tego nie zrobię... Jeszcze raz rozglądam się po lesie. W każdą stronę wygląda tak samo, bezkresna ściana drzew pod nieprzyjaznym niebem.

Jak bardzo trzeba się zagubić, żeby pozwolić diabłu wskazać sobie drogę do domu?

Uznałem, że właśnie tak, jak ja się zagubiłem.

Odsuwam się od drzewa i kładę kompas na otwartej dłoni. Tęsknie wskazuje północ, kieruję się na wschód, na przekór podmuchom zimnego wiatru, który wieje mi w twarz, na przekór całemu światu.

Nadzieja mnie opuściła.

Jestem w czyścisku i nie wiem nic o grzechach, które mnie tu przywiodły.

2

Gdy kierując się wskazaniem kompasu, idę przez las, wiatr wyje, a deszcz, który tymczasem przybrał na sile, siecze przez gałęzie drzew z taką siłą, że krople odbijają się od ziemi do wysokości kostek.

W mroku miga mi jakaś barwna plama, więc ruszam w jej stronę. Widzę czerwoną chustkę przybitą gwoździem do drzewa – pewnie pozostałość po jakiejś zapomnianej dziecięcej zabawie. Szukam następnej i odnajduję ją parę metrów dalej, potem kolejną i jeszcze jedną. Zmierzając chwiejnym krokiem od jednej do drugiej, w końcu docieram na skraj ciemnego lasu, gdzie zza drzew ukazuje się rozłożysta rezydencja w stylu georgiańskim ze spowitą bluszczem ceglana fasadą. Dom wygląda na opuszczony. Długi, wysypany żwirem podjazd prowadzący do drzwi wejściowych zarastają chwasty, prostokątnym trawnikom po obu stronach pozwolono zmienić się w grzęzawisko, a kwiatom zwiędnąć.

Spoglądam w ciemne okna w poszukiwaniu oznak życia i wreszcie dostrzegam nagle światło na pierwszym piętrze. Powinienem poczuć ulgę, mimo to ciągle się waham. Mam wrażenie, jakbym natknął się na pogrążone we śnie stworzenie, a to niepewne światełko jest bijącym sercem nieruchomej i groźnej bestii. Po co morderca dawałby mi kompas, jeśli nie po to, by zaprowadzić mnie w paszczę jeszcze większego zła?

Myśl o Annie zmusza mnie do zrobienia pierwszego kroku. Straciła życie z powodu trzydziestu sekund mojego niezdecydowania, a teraz znowu jestem w rozterce. Opanowuję nerwy, ocieram z oczu krople deszczu i przecinam trawnik, by wejść po kruszących się schodkach. Tłukę w drewno drzwi z dziecinną wściekłością, trwoniąc na to resztki sił. W lesie zdarzyło się coś strasznego i sprawcy można jeszcze wymierzyć karę, jeżeli tylko uda mi się obudzić mieszkańców domu.

Niestety, to mi się nie udaje.

Chociaż słabną od walenia w drzwi, nikt ich nie otwiera.

Oslaniając dłońmi oczy, przyciskam nos do wysokich okien po obu stronach, ale witrażowe szybki są lepkie od brudu i widać przez nie tylko niewyraźne żółtawe plamy. Uderzam w nie otwartą dłonią, po czym odsuwam się od frontu, by znaleźć inne wejście. Wtedy dostrzegam sznur dzwonka, właściwie zardzewiały łańcuszek wpłątany w bluszcz. Wydobywam go z pnącza i zaczynam szarpać, aż wreszcie za oknami coś się porusza.

Drzwi otwiera mi zaspany jegomość o tak niezwykłym wyglądzie, że przez chwilę po prostu stoimy i gapimy się na siebie. Jest niski, zgięty i pomarszczony od ognia, który oszpecił mu połowę twarzy. Zdecydowanie za duża pizama wisi na chuderławej sylwetce jak na wieszaku, zgarbione ramiona okrywa znoszony brązowy szlafrok. Prawie nie przypomina człowieka, raczej zagubiony w meandrach ewolucji relikwyt jakiegos dawniejszego gatunku.

– Och, dzięki Bogu, potrzebuję pana pomocy – mówię, kiedy dochodzę do siebie.

Patrzy na mnie z szeroko otwartymi ustami.

– Ma pan telefon? – próbuję dalej. – Musimy zawiadomić władze.

Cisza.

– Człowieku, nie stój jak kołek! – krzyczę i potrząsam nim, po czym odtrącam go na bok i wpadam do holu. Kiedy rozglądam

się po pomieszczeniu, szczęka mi opada. Każda powierzchnia lśni, w szachownicy marmurowej posadzki odbija się kryształowy żyrandol z dziesiątkami świeczek. Na ścianach wiszą lustra w ramach, po szerokich schodach ze zdobioną balustradą, które prowadzą na galerię, spływa wąski czerwony dywan jak struga krwi ubitego zwierzęcia.

W głębi domu trzaskają drzwi i pojawia się kilka osób ze służby z naręczami różowych i fioletowych kwiatów, których zapach tłumi woń gorącego wosku. Na widok zdyszaney zmory przy wejściu rozmowy milkną. Jedno po drugim spoglądają w moją stronę i wstrzymują oddech. Po chwili jedynym dźwiękiem w holu jest odgłos kropli wody spadających na czyściutką posadzkę.

Kap.

Kap.

Kap.

– Sebastian?

Po schodach, skacząc po dwa stopnie, zbiega przystojny blondyn w swetrze do gry w krykieta i lnianych spodniach. Z wyglądu ma ponad pięćdziesiąt lat, lecz nie mam przed sobą zmęczonego wiekiem człowieka – raczej nieco wymiętego dekadenta. Z rękami w kieszeniach rusza prosto w moim kierunku przez grupkę milczących służących, którzy usuwają mu się z drogi. Wątpię, czy w ogóle ich zauważa, bo całą uwagę skupia na mnie.

– Mój drogi, cóż ci się stało? – pyta, spoglądając na mnie z troską.

– Trzeba sprowadzić policję – mówię i chwytam go za przedramię. – Anna została zamordowana.

Podnosi się szmer przejętych szeptów.

Blondyn unosi brwi i obrzuca przelotnym spojrzeniem służbę, która podeszła o krok bliżej.

– Anna? – powtarza przyciszonym głosem.

– Tak. Ktoś ją gonił.

– Kto?

– Jakaś postać w czerni, musimy wezwać policję!
– Niebawem, niebawem, najpierw chodźmy do twojego pokoju – uspokaja mnie i prowadzi w stronę schodów.

Nie wiem, czy to panujące w domu ciepło, czy ulga na widok przyjaznej twarzy, ale nagle ogarnia mnie słabość i muszę się przytrzymać poręczy, żeby nie potknąć się o stopnie.

Na górze wita nas szafkowy zegar z zardzewiałym werkiem i wahadłem pokrytym kurzem odmierzonych sekund. Jest później, niż sądziłem, prawie wpół do jedenastej.

Korytarze po obu stronach prowadzą do przeciwnych skrzydeł domu, ale ten do wschodniego skrzydła zasłania aksamitna kotara, prowizorycznie przybita do sufitu, z przypiętą do materiału małą tabliczką, która informuje, że w tej części domu trwa „remont”.

Chcę zrzucić z siebie ciężar okropnych przeżyć poranka i jeszcze raz próbuję mówić o Annie, ale mój samarytanin ucisza mnie konspiracyjnym ruchem głowy.

– Ta przekłeta służba w pół minuty rozniesie twoje słowa po całym domu – wyjaśnia, zniżając głos tak bardzo, że niemal ściele się na podłodze. – Lepiej będzie, jeśli porozmawiamy na osobności.

Jest może metr ode mnie, ale z trudem udaje mi się iść w linii prostej, a co dopiero dotrzymać mu kroku.

– Mój drogi, wyglądasz strasznie – mówi, zauważywszy, że zostaję z tyłu.

Podtrzymuje mnie pod ramię i kładzie mi dłoń na plecach, lekko naciskając palcami kręgosłup. W tym prostym geście wyczuwam pośpiech, z którym prowadzi mnie ciemnym korytarzem z sypialniami po obu stronach, gdzie pokojówki ścierają kurz. Ściany chyba niedawno odmalowano, bo od oparów farby oczy zachodzą mi łzami, a dalej pojawiają się kolejne dowody pospiesznego odnawiania wnętrza. Podłogę przykrywają różnobarwne dywaniki, które mają stłumić skrzypienie desek. Fotele ustawiono w taki sposób, aby zasłaniały pęknięcia

na ścianach, a obrazy i porcelanowe wazony mają odciągnąć uwagę od sypiących się gzymsów. Próby zamaskowania takich uszkodzeń wydają się daremne. Udekorowano ruinę.

– A oto i twoja sypialnia, prawda? – odzywa się mój towarzysz, otwierając drzwi prawie na końcu korytarza.

Na twarzy czuję uderzenie zimnego powietrza, które odrobinię mnie ożywia, ale mój opiekun natychmiast idzie zasunąć okno. Wchodzę za nim do ładnego pokoju, gdzie pośrodku stoi łoże z iście królewskim, choć nieco obwisłym baldachimem i wytartymi, haftowanymi w ptaki zasłonami, które rozchodzą się, a raczej rozfruwają w szwach. Po lewej część pomieszczenia jest oddzielona składanym parawanem; przez szczeliny między jego skrzydłami dostrzegam metalową wannę. Reszta umeblowania prezentuje się skromnie – stolik nocny i duża szafa pod oknem, jedno i drugie odrapane i wyblakłe. Chyba jedynym osobistym przedmiotem jest leżąca na stoliku Biblia ze sfatygowaną okładką i pozaginanymi rogami.

Podczas gdy mój samarytanin mocuje się z opornym oknem, podchodzę i stoję obok niego; widok na moment sprawia, że zapominam o wszystkim innym. Otacza nas gęsty las, którego zielonego okapu nie przerywa żadna droga ani wioska. Bez kompasu, bez uprzejmości mordercy, nigdy nie odnalazłbym tego domu, mimo to nie mogę się pozbyć wrażenia, że zostałem zwabiony w pułapkę. Bo czy zabiłby Annę, a mnie oszczędził, gdyby nie krył się za tym jakiś większy plan? Czego ten drań ode mnie chce, czego nie mógł uzyskać w lesie?

Mój towarzysz w końcu zatrząskuje okno i wskazuje fotel przy przygaszonym kominku, a potem, podając mi czysty biały ręcznik z szafy, przysiadła na skraju łóżka i zakłada nogę na nogę.

– Zaczynij od początku, stary – proponuje.

– Nie ma czasu – mówię i zaciskam palce na poręczy fotela. – Później odpowiem na wszystkie pytania, ale najpierw trzeba wezwać policję i przeszukać ten las! Grasuje tam szaleniec.

Przeslizguje się wzrokiem po mnie, jak gdyby rozwiązanie zagadki kryło się w fałdach mojego brudnego ubrania.

– Niestety, nie możemy nikogo wezwać, nie ma tu telefonu – wyjaśnia, pocierając szyję. – Można jednak przeszukać las i wysłać służącego do wioski, gdybyśmy coś znaleźli. Ile potrzebujesz czasu, żeby się przebrać? Będziesz musiał nam pokazać, gdzie to się stało.

– No... – bąkam, wykręcając ręcznik – trudno mi powiedzieć, byłem zdezorientowany.

– W takim razie skupmy się na opisie – odpowiada i podciąga nogawkę, odsłaniając szarą skarpetę. – Jak wyglądał morderca?

– Nie widziałem jego twarzy, miał na sobie gruby czarny płaszcz.

– A ta Anna?

– Też była ubrana na czarno – mówię i czuję, jak gorąco oblewa mi policzki, bo uświadamiam sobie, że na tym kończy się mój zasób informacji. – Właściwie... znam tylko jej imię.

– Przepraszam, Sebastianie, przypuszczałem, że to twoja znajoma.

– N... nie – jąkam. – To znaczy... być może. Nie jestem pewien.

Mój opiekun opuszcza ręce i pochyła się ze zmieszonym uśmiechem.

– Chyba czegoś nie rozumiem. Jak możesz znać jej imię, ale nie być pewnym...

– Bo straciłem pamięć, do cholery! – przerywam mu i to wyznanie pada między nami z hukiem jak kamień. – Nie pamiętam, jak sam się nazywam, a co dopiero moi znajomi.

Jego oczy zasnuwa cień powątpiewania. Trudno mu się dziwić; nawet w moich uszach brzmi to niedorzecznie.

– Moja pamięć nie potrafi skojarzyć niczego z tym, co widziałem – ciągnę uparcie, czepiając się strzępów własnej wiarygodności. – Zobaczyłem kobietę, którą ktoś gonił, potem usłyszałem jej krzyk, który został uciszony strzałem z pistoletu. Musimy przeszukać las!

– Ach, tak. – Waha się, strzepując jakiś pyłek z nogawki. Jego następne słowa to starannie przemyślana oferta, którą przedstawia mi z wielką uwagą i ostrożnością:

– A czy nie jest prawdopodobne, że widziałeś dwoje kochanków? Może po prostu bawili się w lesie? A ten dźwięk mógł być trzaskiem łamanej gałęzi... albo wystrzałem z pistoletu startowego.

– Nie, nie, ona wzywała pomocy, bała się – zaprzeczam gwałtownie i podrywam się z fotela; ręcznik spada na podłogę.

– Oczywiście, oczywiście – uspokaja mnie blondyn, przyglądając się, jak chodzę po pokoju. – Naprawdę ci wierzę, mój drogi, ale policja jest w takich sprawach szalenie precyzyjna i uwielbia robić głupców z wyżej postawionych ludzi.

Patrzę na niego bezradnie i tonę w morzu banałów.

– Jej morderca dał mi to. – Przypominam sobie o kompasie i błyskawicznie wyjmuję go z kieszeni. Jest zablocony, więc muszę go przetrzeć rękawem. – Z tyłu są litery. – Wskazuję je drżącym palcem.

Metodycznie ogląda kompas z każdej strony spod przymrużonych powiek.

– SB – odczytuje powoli i unosi wzrok.

– Tak!

– Sebastian Bell. – Przez chwilę stara się ocenić, do jakiego stopnia jestem zdezorientowany. – Tak się nazywasz, Sebastianie. To twoje inicjały. I twój kompas.

Otwieram i zamykam usta, lecz nie wydają żadnego dźwięku.

– Musiałem go zgubić – odzywam się w końcu. – Pewnie morderca go znalazł.

– Być może – przytakuje.

Obezwładnia mnie jego życzliwość. Uważa mnie za kogoś niepełna rozumu, pijanego głupca, który spędził noc w lesie, a po powrocie bredzi. Mimo to, zamiast wpaść w gniew, lituje się nade mną. Właśnie to jest najgorsze. Gniew to coś konkretnego, ma swoją wagę.

Można się na niego rzucić z pięściami. A litość jest jak mgła, w której łatwo się zgubić.

Z powrotem siadam w fotelu, ukrywam twarz w dłoniach. W lesie grasuje morderca, a ja nie potrafię przekonać tego człowieka, że grozi nam niebezpieczeństwo.

Morderca, który pokazał ci drogę do domu?

– Wiem, co widziałem – mówię.

Nie wiesz nawet, kim jesteś.

– Na pewno – odpowiada mój towarzysz, opacznie rozumiejąc sens mojego protestu.

Patrzę w przestrzeń i myślę tylko o kobiecie o imieniu Anna, która leży w lesie martwa.

– Wiesz co, odpocznij tu – radzi mi, wstając. – Spytałem w domu, sprawdzę, czy kogoś nie brakuje. Może dzięki temu coś się wyjaśni.

Mówi pojednawczym, ale rzeczowym tonem. Choć jest dla mnie miły, nie mogę liczyć na to, że cokolwiek zdziała; zbyt duże ma wątpliwości co do moich słów. Gdy tylko zamkną się za nim drzwi, bez przekonania rzuci służbie parę pytań, a tymczasem Anna dalej będzie leżała opuszczona.

– Widziałem, jak zamordowano kobietę – mówię, dźwigając się z trudem na nogi. – Kobietę, której powinienem pomóc, i jeżeli będę musiał przeszukać cały las kawałek po kawałku, żeby to udowodnić, jestem gotowy to zrobić.

Przez sekundę patrzy mi w oczy i wobec mojej niezachwianej pewności jego sceptycyzm słabnie.

– Od czego zaczniesz? – pyta. – Ten las ma tysiące akrów i chociaż nie wątpię w twoje dobre intencje, ledwie wszedłeś po schodach. Nie wiem, kim jest ta Anna, ale już nie żyje, a jej morderca uciekł. Daj mi godzinę, żebym zebrał grupę poszukiwawczą i wypytał ludzi. Ktoś w tym domu musi wiedzieć, kim ona jest i dokąd poszła. Znajdziemy ją, obiecuję, ale trzeba to zrobić we właściwy sposób.

Ściska mnie za ramię.

– Zrobisz to dla mnie? Proszę o jedną godzinę.

Mam sprzeciw na końcu języka, ale on ma rację. Muszę odpocząć, odzyskać siły i mimo że z powodu śmierci Anny dręczą mnie wyrzuty sumienia, nie chcę samotnie tropić w lesie zabójcy. Przecież ledwie się stamtąd dowlokłem.

Poddaję się potulnym skinieniom głowy.

– Dziękuję, Sebastianie – mówi. – Kąpiel jest gotowa. Powinieneś się umyć. Poślę po lekarza i poproszę pokojowego, żeby przyniósł ci jakieś ubranie. Odpocznij trochę, spotkamy się na lunchu w salonie.

Zanim wyjdzie, powinienem zapytać, gdzie to jest, mam taki zamiar, ale niecierpliwie się; chcę, by wreszcie poszedł wypytać służbę, żebyśmy mogli zacząć poszukiwania. Tylko jedna rzecz wydaje mi się ważna i kiedy znajduję odpowiednie słowa, blondyn stoi już w otwartych drzwiach.

– Czy mam w tym domu jakąś rodzinę? – pytam. – Kogoś, kto się o mnie martwi?

Spogląda na mnie przez ramię z mieszaniną nieufności i współczucia.

– Jesteś kawalerem, stary. Nie masz żadnej rodziny oprócz jakiejś zbzikowanej ciotki, która trzyma łapę na twoim majątku. Oczywiście masz przyjaciół, między innymi mnie, ale o tej Annie nigdy mi nie wspominałeś. Prawdę mówiąc, aż do dzisiaj nigdy nie słyszałem, żebyś w ogóle wymawiał to imię.

Zakłopotany odwraca się plecami i znika w zimnym korytarzu, zostawiając mnie z moim rozczarowaniem i wątłym ogniem w kominku, który migocze niepewnie, kiedy za mężczyznę zamykają się drzwi.

3

Zanim jeszcze ustał podmuch powietrza z korytarza, zrywam się z fotela i otwieram szuflady w szafce nocnej, szukając w swoich rzeczach jakiegoś śladu Anny, który mógłby udowodnić, że ta kobieta nie jest tylko wytworem skołatanego umysłu. Niestety, sypialnia okazuje się wyjątkowo skryta. Oprócz portfela, w którym tkwi kilka funtów, jedynym przedmiotem osobistym jest zaproszenie ze złotymi tłoczeniami, w którym na pierwszej stronie umieszczono listę gości, a na odwrocie wiadomość zanotowaną eleganckim charakterem pisma.

Lord i lady Hardcastle mają zaszczyt zaprosić Pana na bal maskowy z okazji powrotu ich córki Evelyn z Paryża. Przyjęcie odbędzie się w Blackheath House w drugi weekend września. Ze względu na położenie rezydencji na ustroniu wszystkim gościom zostanie zapewniony transport z pobliskiej wsi Abberly.

Zaproszenie jest adresowane do doktora Sebastiana Bella – dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że to moje imię i nazwisko. Wspominał mi o tym mój opiekun, ale kiedy widzę je czarno na białym, wraz ze swoją profesją, ogarnia mnie daleko większy niepokój. W ogóle nie czuję się Sebastianem, a tym bardziej lekarzem.

Po mojej twarzy przemyka drwιάcy uśmiech.

Ciekawe, ilu moich pacjentów pozostanie mi wiernych, gdy pojdę do nich z nałożonym odwrotnie stetoskopem.

Wrzucam zaproszenie z powrotem do szuflady, kieruję uwagę na leżącą na stoliku Biblię i przeglądám mocno sfatygowane stronicę. Niektóre akapity są zaznaczone, przypadkowe słowa zakreślone na czerwono, choć za nic w świecie nie potrafię zrozumieć ich znaczenia. Liczyłem na to, że znajdę jakąś dedykację albo ukryty wewnątrz list, ale z Biblii nie mogę zaczerpnąć wiedzy. Ściskam ją w obu dłoniach i niezdarnie próbuję się modlić w nadziei, że pomoże to rozbudzić we mnie wiarę, jeżeli kiedyś ją miałem, lecz wszystkie te zabiegi wydają mi się absurdalne. Religia opuściła mnie jak cała reszta.

Następnie zabieram się do przeszukania szafy i choć kieszenie moich ubrań są puste, to pod stertą pledów odkrywam kufer podróżny. Piękna, stara rzecz, ze zmatowiałymi żelaznymi okuciami obejmującymi wysłużoną skórę i z solidną klamrą, która chroni zawartość przed wzrokiem wścibskich. Na przywieszonej kartce jest londyński adres – przypuszczam, że mój – ale nie przywołuje żadnych wspomnień.

Zdejmuję marynarkę, dzwigam kufer i stawiam na gołych deskach podłogi, przy każdym ruchu podzwaniając jego zawartością. Kiedy naciskam przycisk zwalniający klamrę, z moich ust wyrzywa się pomruk podniecenia, który przeradza się w jęk, bo okazuje się, że ta przeklęta skrzynia jest zamknięta na klucz. Szarpię wieko raz i drugi, ale nie ustępuje. Jeszcze raz przetrząsam otwarte szuflady i szafę, kładę się nawet na brzuchu, żeby zajrzeć pod łóżko, lecz znajduję tam tylko kurz i kulki trucizny na szczury.

Nigdzie nie mogę znaleźć kluczyka.

Jedynym dotąd nieprzeszukanym miejscem jest część pokoju, w której stoi wanna, wpadam więc jak opętany za parawan i omal nie wyskakuję ze skóry na widok jakiegoś stwora o szalonym wzroku, który czai się po drugiej stronie.

To lustro.

Stwórz o szalonym wzroku wygląda na tak samo stropionego tym odkryciem jak ja.

Niepewnym krokiem podchodzę do lustra i oglądam się po raz pierwszy, czując coraz większe rozczarowanie. Dopiero teraz, kiedy przypatruję się temu dygoczącemu, przerażonemu osobnikowi, uświadamiam sobie, że miałem wobec siebie pewne nadzieje. Że będę wyższy, niższy, szczuplejszy, grubszy... nie wiem... ale że nie będę tak nijaki jak ta postać w tafli szkła. Ciemne włosy, ciemne oczy, prawie niewidoczny podbródek i twarz, jaką trudno wyłowić z tłumy; zwykły materiał, którym Bóg wypełnia ubytki w ludzkości.

Szybko nudzi mnie własne odbicie, wracam więc do poszukiwań kluczyka do kufra, nie ma tu jednak nic prócz przyborów toaletowych i dzbanka wody. Kimkolwiek byłem, wygląda na to, że przed zniknięciem wszystko po sobie starannie posprzątałem. Z rozpaczy chce mi się wyć, gdy nagle rozlega się pukanie do drzwi. Pięć energicznych uderzeń jednoznacznie wyraża osobowość przybysza.

– Sebastianie, jesteś tam? – odzywa się szorstki głos. – Nazywam się Richard Acker, jestem lekarzem. Proszono mnie, żebym do ciebie zajrzał.

Otwieram drzwi i widzę sumiaste siwe wąsy. Niezwykły jest widok ich podkreślonych końców odstających od twarzy, z którą teoretycznie powinny być połączone. Sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna za ich zasłoną jest całkiem łysy, ma perkaty nos i przekrwione oczy. Czuć od niego brandy, ale ten zapach sprawia pogodne wrażenie, jak gdyby doktor każdą kroplę wypił z uśmiechem.

– Boże, wyglądasz strasznie – oznajmia. – I to jest fachowa opinia.

Wykorzystując moją dezorientację, mija mnie, rzuca czarną torbę lekarską na łóżko, uważnie rozgląda się po sypialni i skupia uwagę na kufrze.

– Też kiedyś taki miałem. – Z czułością gładzi wieko. – Lavola-
ille, zgadza się? Towarzyszył mi w podróży na Daleki Wschód i z po-
wrotem, kiedy byłem w wojsku. Powiada się, żeby nie ufać Francuzom,
ale nie potrafię się obyć bez ich kufrów.

Kopie go lekko i krzywi się, ponieważ stopa odbija się od nieustę-
pliwej skóry.

– Chyba trzymasz tam cegły – mówi, spoglądając na mnie wy-
czekująco, jakby na coś takiego można było sensownie odpowiedzieć.

– Jest... zamknięty – bąkam.

– I nie możesz znaleźć kluczyka, hm?

– No... nie, doktorze Acker, właściwie...

– Mów mi Dickie – proponuje. – Wszyscy tak mnie nazywają. –
Podchodzi do okna, by wyrzec na zewnątrz. – Prawdę powiedziaw-
szy, nigdy nie przepadałem za tym imieniem, ale chyba przyłgnęło.
Daniel mówi, że spotkało cię jakieś nieszczęście.

– Daniel? – powtarzam, usiłując nie stracić wątku, który mi
umyka.

– Coleridge. Ten, który cię rano znalazł.

– Ach, tak.

Na widok mojego zmieszania doktor Dickie rozpromienia się
w uśmiechu.

– Utrata pamięci, tak? Nie ma się czym martwić, widziałem parę
takich przypadków na wojnie. Wystarczyło kilka dni i wszystko wra-
cało, bez względu na to, czy pacjent tego chciał, czy nie.

Wskazuje w stronę kufra i zmusza mnie, abym na nim usiadł.
Przechylając mi do przodu głowę, ogląda moją czaszkę z delikatnością
rzeźnika i chichocze, kiedy się krzywię.

– Tak jest, masz tu niezłego siniaka. – Zastanawia się przez
chwilę. – Pewnie w nocy uderzyłeś w coś głową. I przypuszczam, że
wtedy wszystko się z niej wysypało, by tak rzec. Jakieś inne objawy, ból
głowy, nudności...?

– Słyszę głos – odpowiadam, nieco zażenowany tym wyznaniem.
– Głos?
– W głowie. Myślę, że to mój głos, tylko że... jest taki pewny wielu rzeczy.

– Rozumiem – rzuca w zamyśleniu. – A co mówi ten... głos?

– Daje mi rady, czasem komentuje to, co robię.

Dickie zaczyna spacerować za moimi plecami, skubiąc wąs.

– Czy te rady są... jak by to powiedzieć... uczciwe i przyzwoite?

Nie sugerują żadnej przemocy, perwersji?

– Absolutnie nie – odburkuję zirytowany takim wścibstwem.

– A teraz go słyszysz?

– Nie.

– Trauma – orzeka nagle i unosi palec. – Nic innego, to zresztą często spotykane. Ktoś uderza się w głowę i zaczynają się z nim dziać przeróżne dziwne rzeczy. Widzi zapachy, czuje smak dźwięków, słyszy głosy. Zwykle trwa to dzień czy dwa, najwyżej miesiąc.

– Miesiąc! – Obracam się na kufrze, żeby spojrzeć na Dickiego. – Jak mam sobie dać radę w tym stanie przez miesiąc? Może powinienem pójść do szpitala?

– Boże drogi, nie, szpitale to straszne miejsca – oświadczają ze zgrozą. – Choroba i śmierć zamiecione do kątów, w łóżkach pacjenci skrzęcający się z bólu. Posłuchaj mojej rady: idź na spacer, poszperaj w swoich rzeczach, porozmawiaj ze znajomymi. Widziałem, jak wczoraj przy kolacji osuszyliście butelkę z Michaeliem Hardcastle'em... ściślej mówiąc, parę butelek. Powinien ci pomóc i wierz mi, kiedy wróci pamięć, przestaniesz słyszeć ten głos.

Cmoka z dezaprobatą.

– Bardziej martwi mnie ta ręka.

Przerywa nam pukanie do drzwi. Zanim udaje mi się zaprotestować, Dickie otwiera. To pokojowy Daniela, który zgodnie z jego obietnicą przynosi wyprasowane ubranie. Wyczuwając moje niezde-

cydowanie, Dickie bierze garderobę, odprawia służącego i kładzie rzeczy na łóżku.

– Na czym to stanęliśmy? – pyta. – Ach, tak, ręka.

Podążam wzrokiem za jego spojrzeniem i widzę krwawe wzory na rękawie swojej koszuli. Bez ceregieli podciąga mi rękaw, odsłaniając paskudne cięcia i poszarpane ciało. Rany zdążyły się już pokryć strupami, ale musiały się otworzyć na skutek moich niedawnych wysiłków.

Zagina moje zeszytniałe palce jeden po drugim, po czym wyjmuję z torby brązową buteleczkę i bandaże, oczyszcza rany i przemycwa jodyną.

– To rany od noża, Sebastianie – wyjaśnia zatroskanym tonem, w którym nie ma już śladu pogodnego nastroju. – I to świeże. Wygląda na to, że uniosłeś rękę, żeby się osłonić, w taki sposób. – Pokazuje mi za pomocą kroplomierza wyjętego z torby lekarskiej, którym zawzięcie tnę swoje uniesione przed twarz przedramię. Odegrana przez niego scenka wystarcza, abym dostał gęsiej skórki.

– Przypominasz sobie coś z tego wieczoru? – pyta, bandażując mi rękę tak ciasno, że syczę z bólu. – Cokolwiek?

Skupiam myśli na wyrwanych z życia godzinach. Kiedy się ocknałem, przypuszczałem, że przepadły na zawsze, teraz jednak mam wrażenie, że byłem w błędzie. Wspomnienia są niemal w zasięgu ręki. Mają swój ciężar i kształt, jak przykryte zasłonami meble w ciemnym pokoju. Po prostu źle ustawiłem światło i nie potrafię ich zobaczyć.

Z ciężkim westchnieniem kręcę głową.

– Nic nie wraca – mówię. – Ale dzisiaj rano widziałem...

– ...jak zamordowano kobietę – kończy za mnie lekarz. – Tak, Daniel mi mówił.

W każdym jego słowie brzmi nuta powątpiewania, mimo to łączy bandaż, nie szczędząc sobie komentarzy.

– Tak czy inaczej, musisz natychmiast powiadomić policję – rądzi. – Ten, kto to zrobił, próbował ci wyrządzić poważną krzywdę.

Bierze swoją torbę z łóżka i niezgrabnie ściska mi dłoń.

– Strategiczny odwrót, mój chłopcze, to najlepsze posunięcie w tej sytuacji – oświadcza. – Porozmawiaj z masztalerzem, powinien ci zorganizować transport do wsi, a stamtąd będziesz już mógł zaalarmować policję. Tymczasem lepiej miej się na baczności. Ten weekend spędza w Blackheath dwadzieścia osób, a na dzisiejszy bal zjedzie jeszcze trzydzieści. Większość z nich byłaby do tego zdolna, więc jeśli kogoś z nich obraziłeś... – kręci głową – lepiej bądź ostrożny, dobrze ci radzę.

Wychodzi, a ja łapię leżący na komodzie klucz i gdy drżącą ręką w końcu udaje mi się trafić do dziurki, zamykam drzwi.

Jeszcze godzinę temu sądziłem, że jestem dla zabójcy tylko igraszką, że się ze mną drażni, ale nie zamierza mi zrobić nic poważnego. W otoczeniu ludzi poczułem się na tyle bezpiecznie, by domagać się podjęcia próby odnalezienia ciała Anny i rozpoczęcia pościgu za mordercą. Sytuacja się zmieniła. Ktoś już próbował pozbawić mnie życia, nie zamierzam więc pozwolić, by to się powtórzyło. Umarli nie są wierzycielami żywych i swój dług wobec Anny będę musiał spłacić z oddali. Kiedy spotkam się w salonie ze swoim opiekunem, posłucham rady Dickiego i postaram się o transport do wsi.

Pora wracać do domu.